

Niniejsza recenzja osiągnie swój cel, jeśli zachęci do lektury siódmego tomu *Fichte-Studien* wszystkich tych, i tylko tych, którym zależy na pogłębieniu lub utwierdzeniu wiedzy prawdziwie filozoficznej.

Recenzował Robert Marszałek

Allan Bloom, *Umysł zamknięty. O tym, jak szkolnictwo wyższe zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów*, przełożył Tomasz Bieroń, słowo wstępne Saul Bellow, Zysk i S-ka, Poznań 1997.

Nieczęsto spotykamy się z książkami nauczycieli dedykowanymi ich uczniom, podsumowującymi wspólną pracę, prezentującymi wieloletnie, także pozadydaktyczne spostrzeżenia i obserwacje. Wydana niedawno w Polsce praca Allana Blooma *Umysł zamknięty* może być interesująca także z innych powodów. Jest bowiem rozliczeniem myśliciela prawicowego, radykalnego konserwatysty, z jego własną epoką — epoką, która miała stanowić ukoronowanie projektu budowniczych nowożytnego świata, a w praktyce całkowicie sprzeniewierzyła się ich dziełu.

Punktem wyjścia rozważań autora jest krytyka obyczajowości studentów i społeczeństwa amerykańskiego w ogóle, okazuje się jednak, że jądro choroby tkwi znacznie głębiej: u samych podstaw myślenia, w umysłowości, języku, najprostszych kategoriach, za pomocą których porządkujemy zarówno nasz prywatny, jak i społeczny świat. Otóż w Ameryce najmniejsze ślady takiego porządku zostały zagubione. Autor szuka źródeł kryzysu duchowości amerykańskiej i odnajduje je przede wszystkim w tryumfie doprowadzonych do zwyrodniałej skrajności ideach liberalizmu i demokracji, imporcie myśli niemieckiej, obcej amerykańskiemu racjonalizmowi, powierzchownie i niedbale przyswojonej, przez co poważnie zniekształconej. Najogólniej jednak rzecz biorąc, zamknięcie się amerykańskiego umysłu to śmierć filozofii, rozumianej przez Blooma tak, jak pojmowali ją wielcy starożytni: filozofii jako poszukiwania prawdy o nas samych i świecie, w którym żyjemy, tropienia tego, co wieczne i niezmienne, intelektualnej odwagi i dociekliwości. Tęsknoty za kluczem do tego wszystkiego, co nazywamy dobrym życiem. Podobnie jak jego mistrz, Leo Strauss, Bloom uznaje za przeciwne tej postawie bezkrytyczne obstawanie zarówno przy racjonalizmie, jak i ideałach własnej kultury, które łatwo mogą przekształcić się w zawężające nasz horyzont myślowy przesady. Bloom ubolewa nad grzechem zapomnienia, jaki Ameryka popełniła wobec własnej tradycji, z drugiej jednak strony pokazuje, że pierwotny zamysł twórców przeniesionego na grunt amerykański liberalizmu zawierał zapowiedź obecnego kryzysu. Droga jest mu Platowska metafora jaskini, zgodnie z którą

filozof opuszcza świat wspierających potoczną egzystencję mitów i urojeń, by sięgnąć po Prawdę. Bloom odnajduje u starożytnych ideał filozoficznych dociekań, nie osłabiony zarzucaną im później „polityczną nieskutecznością”. Najważniejsza jest tu bowiem sama postawa intelektualna, sprzyjająca rozkwitowi indywidualnych zdolności i powstaniu języka dialogu. Skutki odrzucenia tak rozumianej filozofii odnajduje Bloom w najróżniejszych sferach amerykańskiego życia, przede wszystkim zaś w życiu studentów — przyszłości intelektualnej Ameryki. Za główny ośrodek kryzysu uznaje bowiem uniwersytet.

Podstawowe źródła kryzysu amerykańskiej umysłowości to według Blooma relatywizm i postulat bezwzględnej, wszechogarniającej równości, prowadzące, jak stara się wykazać autor, do postaw nihilistycznych, rezerwy wobec świata i intelektualnej impotencji. Píše o studentach wkraczających po raz pierwszy na teren uniwersytetu: „Względność prawdy nie jest w ich oczach jakąś przesłanką teoretyczną, lecz wymogiem moralnym, koniecznym warunkiem wolności społeczeństwa”. Pokazuje w ten sposób, iż wiedza i ideały moralne zostały zaprzęgnięte w służbę realnego świata, potraktowane instrumentalnie, utraciły autonomię niezbędną do wypełniania ich pierwotnej funkcji: poszukiwania odpowiedzi na najbardziej podstawowe pytanie: co jest dobre? Tropienie prawdy wymaga oglądu całości życia z niezależnego punktu, którego nie mogą wyznaczać tymczasowe mody, trendy, doraźne potrzeby. Postulat bezwzględnej tolerancji dyskwalifikuje wszelką krytykę tego, co wydaje nam się niewłaściwe czy niebezpieczne, uniemożliwia wszelką próbę odróżnienia tego, co dobre, od tego, co złe, pozbawia prawa i podstaw do przekonywania innych o własnej racji. Współczesna tolerancja wobec różnic staje się według Blooma ich niedostrzeganiem, oślepiającą obojętnością, która faktycznie ujednoliciła nasz obraz rzeczywistości, co przekreśla pierwotny sens tolerancji, mającej harmonizować nasz wspólny świat przy zachowaniu całej jego różnorodności. Historię polityczną Stanów Zjednoczonych ukazuje Bloom jako pęd od idei przyrodzonych praw naturalnych do otwartości. Używa słowa „pęd”, podkreślając, w jak bardzo zachłanny, nie przemyślany sposób to wszystko się odbywało. Prawa przyrodzone miały dostarczać wiedzy pewnej, ustanawiającej element niezbędnej jedności, harmonizującej współbywanie ludzi, nakierowującej na wspólne cele. Ojcowie liberalizmu, żegnający epokę wojen religijnych, uznali poszczególne kulty za równouprawnione „opinie”, natomiast samą wolność wyznania — za wiedzą pewną, absolutną. Autentyczna wolność musi bowiem znaleźć ugruntowanie w tym, co niepodważalne, w zasadach fundamentalnych. Obecnie uważa się, jak pisze Bloom, że „pełną wolność można osiągnąć jedynie wtedy, gdy nie istnieją żadne moralne i polityczne pewniki”. Skąd jednak pewność samej wolności? Otwartość jako dopuszczenie wszelkich poglądów stawia ideę wolności na równi z innymi, także tymi, które jej zaprzeczają. Otwartość to w istocie obojętność, czyniąca nas nieczułymi na bogactwo wizji, których każdorazowe zgłębienie zbliża tropiciela prawdy do wiedzy o ich wiecznym źródle — naturze, i upewnia go co do tego źródła. Prawo

natury przestało być traktowane jako coś, co wzbogaca wiedzę o nas samych. Wynikająca z niego równość i tolerancja służy usuwaniu wszelkich różnic, a tym samym pozbawia ludzi wszystkiego, co napełnione treścią, by pozostawić wspólną pustkę i nijakość. W ten oto sposób amerykańska demokracja, zapominając o swym źródle, tkwiącym w prawach naturalnych i idei racjonalności, podcina własne korzenie, ztraca się w chaosie atomizującego społeczeństwa relatywizmu i bezrozumności. I tak na przykład pierwotna zasada demokracji większościowej musi ustąpić bezwzględnej ochronie mniejszości. Obawy Ojców Założycieli przed szkodliwymi dla wolności frakcjami ustąpiły działaniom wzmacniającym podziały w społeczeństwie. Demokracja staje się targowiskiem politycznym, gdzie każdy głos ma równe prawo do pierwszeństwa i słuszności. Bloom ukazuje na przykład, jak ruch praw obywatelskich z walki o uniwersalne prawa przekształcił się w walkę o tożsamość czarnej ludności, wymierzoną faktycznie w pierwotne założenia amerykańskiej konstytucji. Bloom demaskuje amerykańską tolerancję, której wyrazem mają być m.in. organizowane na uniwersytetach kursy poszerzające znajomość obcych kultur. Faktycznie uczą one obojętności i pobłażliwej wyższości w stosunku do innych stylów życia, gdyż jest to niezbędne do wyrobienia pożądanego dziś, płytko pojmowanego, szacunku wobec odmienności. Autentyczne poznanie danej kultury musi prowadzić do zajęcia krytycznej wobec niej postawy. Według Blooma człowiek powinien poznać i docenić to, co dane naszej i innym kulturom, zawsze jednak po to, by je ostatecznie przekroczyć, stanąć ponad, szukając prawd stałych i niezmiennych. „Normą, według której oceniamy nasze życie i życie narodów winna być natura.” Prawdziwa otwartość, tak jak u starożytnych, to rozumowe dociekania nad tym, który z poglądów jest lepszy. Otwartość dziś to obojętność bądź schlebianie prymitywnym gustom, bezwarunkowe przyjmowanie wszystkiego, co niesie teraźniejszość, bez potrzeby szukania gdzie indziej.

Bloom analizuje szereg wątków szczególnie dobitnie odzwierciedlających zgubny wpływ relatywizmu i nihilizmu na życie Amerykanów. Rodzina, miłość, przyjaźń przestały być niekwestionowanymi wartościami wyrastającymi z odwiecznych potrzeb i dążeń człowieka. Rodzina nie jest już niezbędnym etapem na drodze duchowego i intelektualnego rozwoju wkraczającego w życie młodego człowieka: „dziś dzieci są hodowane, lecz nie wychowywane”. Literatura, wielka przewodniczka, przestała dostarczać wskazówek, służyć mądrością, bohaterowie literaccy nie stanowią już wzorców zachowań, traktowani są z cyniczną pobłażliwością lub niezrozumieniem. Zniknął nawyk czytania. A przecież, powiada Bloom, na kartach wielkich dzieł ludzie od lat rozpoznawali swe radości i udręki, co pozwalało wpisać własne problemy egzystencjalne w odwieczny porządek świata. Fascynacja własną epoką nakazała odrzucić wszystko to, co było pisane w czasach hołdującym odmiennym wzorcom myślenia oraz zapomnieć, obok archaicznych przesądów, o ponadczasowych, wszechobecnym wymiarach ludzkiej egzystencji, takich jak dobro i zło, prawda i fałsz. Autor przerażony jest fascyna-

cją, jaką studenci darzą muzykę rockową. Uznaje to za fenomen o znaczeniu historycznym, oddanie się we władzę najprymitywniejszym namiętnościom uosobianym przez postacie demonów muzycznego biznesu, na których czele stawia wzorcowe, jak sądzi (choć dość niefortunnie zestawione postaci Micka Jaggera i Michaela Jacksona). A przecież muzyka winna ustalać harmonię między namiętnościami a rozumem, likwidować bolesne napięcie między nimi. W życiu studentów, jak zaobserwował Bloom, brakuje miłości, gdyż towarzyszące jej zobowiązania godziłyby w wielkoduszny imperatyw poszanowania cudzej autonomii. Kategorie mające niegdyś harmonizować życie publiczne wtargnęły w sferę ludzkiej intymności. Radykalny egalitaryzm usuwa najbardziej naturalne różnicowania, likwidując na przykład różnice związane z odmiennością płci. Jednak gra pojęciami naturalne — konwencjonalne nie zawsze odbywa się u Blooma na płaszczyźnie oczywistości, co do których łatwo można by się zgodzić. W interesującej analizie różnic między rewolucją seksualną i ruchem feministycznym Bloom nie waha się stwierdzić: „Z kolei feminizm, o ile przedstawiał się jako wyzwolenie, stanowił raczej wyzwolenie od natury niż konwenansu czy społeczeństwa”. Choć nierzadko jego pojęcie natury może być dyskusyjne, autor w niewątpliwie interesujący sposób prezentuje problematyczność ludzkiej egzystencji, od wieków rozdartej między tym, co naturalne, a tym, co konwencjonalne. Problematyczność dziś zagłuszana przez krzykliwe samozadowolenie.

Allan Bloom daleki jest jednak od gloryfikowania idei praw natury, zawartej w koncepcjach nowożytnych ojców liberalizmu, a leżącej u podłoża amerykańskiego projektu demokratycznego. Ukazuje w istocie, iż sposób wywiedzenia oraz sformułowania owych praw przyczynił się do ich relatywizacji i zwulgaryzowania, prowadząc do ostatecznego kryzysu. Nowożytnej wizji przeciwstawia własną wizję natury, by ukazać ostatecznie, jak człowiek został przez liberalizm wydarty tej specyficznie pojmowanej naturze. Według Blooma natura ma być naszą nauczycielką, źródłem prawdy o nas samych, cnót i powinności niezbędnych do osiągnięcia pełni człowieczeństwa, wewnętrznej jedności i doskonałości. Natura ma uczyć jak równoważyć namiętności i rozum. To ona stanowi owo podpiwniczenie duszy, punkt wyjścia autentycznego rozwoju. Bloom przywołuje pojęcia tak istotne dla myśli greckiej: oto natura pozwala usunąć charakterystyczne napięcie między duszą a ciałem, rozumem i namiętnościami. Kategorie te budują oś jego analizy, pozwalając zarazem uwypuklić specyfikę współczesnego dyskursu moralnego, w którym dominują pojęcia zaczerpnięte z filozofii niemieckiej — Nietzschego, Freuda, Webera i innych: jaźń, charyzma, twórczość, osobowość. Autor sięga do filozofów starożytnych, według których natura ma charakter normatywny, dostarcza zasad organizowania życia politycznego i społecznego, ukierunkowuje osobiste poszukiwania. I tak na przykład Arystoteles poprzedza w *Polityce* rozważania o państwie uwagami na temat rodziny, ustanawiając ciągłość między tym, co polityczne i tym, co przedpolityczne. Podobnie jak rodzina, państwo ma dyktowany przez naturę cel, więzi, hierarchie. Bloom

podkreśla konieczność stałego powracania do wielkich dzieł filozoficznych i literackich, które składają się na całość intelektualnej tradycji myśli europejskiej i amerykańskiej. Dziełem wzorcowym będzie dla niego wielokrotnie przywoływane *Państwo* Platona, które w istotny sposób wzbogaciło jego indywidualne doświadczenia, zarówno nauczyciela, jak i człowieka. Kryterium wyodrębnienia odpowiednich pozycji stanowi cel, jaki winien nam przyświecać: poszukiwanie odpowiedzi na fundamentalne, niezmiennie pytania dotyczące ludzkiej egzystencji, nie zagłuszone przez oportunistyczne próby wygodnego, bezkonfliktowego urzędowania własnej tymczasowości. Takie pytania, twierdzi autor, zawsze będą nas nakierowywać na koncepcję natury.

Liberałowie zwulgaryzowali i uprościli pojęcie natury, gdyż było im to potrzebne do ich politycznych celów. W dość uproszczonym ujęciu Blooma, Hobbes i Locke przedstawiają kondycję człowieka w hipotetycznym stanie natury jako dramatyczną, opisując ją za pomocą takich kategorii, jak: samotność, niedostatek, strach, egoizm, wojna. Ustanowienie ładu politycznego wymaga więc przewyciężenia natury. Skoro najsilniejszą namiętnością kierującą poczynaniami człowieka w stanie natury jest strach przed śmiercią, dążenie do samozachowania, na niej należy oprzeć projekt zbudowania państwa. Prawa naturalne, dyktowane przez rozum, stanowiące projekt wybitnie nowożytny, mają chronić ludzkie ciało i własność, pouczają o tym, co się jednostce w społeczeństwie należy, a nic nie mówią o powinnościach i wysiłku, jaki należy włożyć w budowanie bytu politycznego. „Przeciwieństwem praw człowieka nie jest nieprawość, lecz powinność.” Fundamentem tych praw jest w ujęciu Blooma pasja życia, egoizm, strach człowieka przed człowiekiem. Nie ma nic, co mogłoby stanowić choć załazek społecznych więzi, echo klasycznych cnót. Przechowane zostaje to, co ludzi faktycznie od siebie separuje. Oświecenie dokonało więc radykalnego oddzielenia społeczeństwa i natury, pozostawiając z niej jedynie to, co najbardziej podstawowe: lęk przed śmiercią i utratą własności. Starożytna opozycja dusza–ciało zostaje zastąpiona opozycją natura–społeczeństwo. Znikają przynależne duszy cnoty, pozostaje cielesna pożądliwość, określana pojęciem „jaźń” — pojęcie niezwykle popularne wśród współczesnych Amerykanów, których życiu nadają rytm regularne wizyty u psychoanalityków. O tym, co dla człowieka istotne, ma informować hobbesowskie doświadczenie pistoletu przyłożonego do skroni, wywołujące najbardziej fundamentalną z naszych namiętności. Skoro natura pozbawiona została swoich władz prawodawczych, najpopularniejszym typem ludzkim stał się człowiek będący prawodawcą dla natury — awangardowy artysta, najcenniejszą zaś aktywnością — twórczość. To puste pojęcie zastąpiło klasyczne, napełnione konkretną treścią: cnotę, roztropność, likwidując standardy oceny ludzkich działań — twórczy może być każdy.

Ewolucja projektu liberalnego doprowadza człowieka z powrotem do punktu wyjścia teorii umowy społecznej — stanu natury. Bloom nie waha się określić w ten sposób współczesnego amerykańskiego świata, człowiek jest tu samotny,

zdany wyłącznie na siebie, bez powinności, drogowskazów, więzi z innymi. Sytuacja ta uczyniła z tamtejszej demokracji podatny grunt dla przeszczepienia zwulgaryzowanego i uproszczonego języka filozofii niemieckiej, z jego kluczowym pojęciem wartości. Weber i Nietzsche dobitnie pokazali, że gloryfikowany przez Oświecenie rozum jest w istocie bezsilny jeśli chodzi o ustanawianie uniwersalnych wartości, kryteriów dobra i zła. Rezultatem praktycznym jest relatywizm moralny, faktycznie stawiający ludzi poza moralnością, „poza dobrem i złem”, skoro pojęcia dobra i zła przy każdorazowym użyciu zyskują nowe znaczenie. Wnioski filozofów niemieckich uderzają w oświeceniowy mit o racjonalności nauki, wiedzy, praw naturalnych, w to wszystko, co stanowiło o specyfice ugruntowanej w rozumie tradycji amerykańskiej. Nietzsche wydobył z człowieka pierwiastek twórczy, jednocześnie jednak ogłosił zanik ludzkiej zdolności wartościowania w świecie skażonym przez oświeceniowy racjonalizm i egalitaryzm. Ukazał bezsilność Oświecenia w kwestiach kultury i moralności, prezentując jednocześnie wyostrzony obraz destrukcyjnego wpływu myśli oświeceniowej na kondycję człowieka. Bloom odnajduje w zaprezentowanej przez Nietzschego charakterystyce ostatniego człowieka portret współczesnego Amerykanina. Rezultatem racjonalizmu jest skrajny subiektywizm i nihilizm, odrzucenie poszukiwania obiektywnej prawdy, w istocie prawda zostaje zastąpiona autentycznością, szukaniem tego, co istotne, w podszytej freudowską nieświadomości jaźni. Po odrzuceniu przez Oświecenie dawnych, wzniosłych wierzeń, wykształciła się ateistyczna religijność, wyznawanie subiektywnych, arbitralnie dobieranych wartości. Oto jak Bloom określa doświadczenie nihilistyczne: „Nihilizm jako stan duszy ujawnia się nie tyle brakiem zdecydowanych przekonań, ile chaosem instynktów i uczuć. Ludzie nie wierzą już w naturalną hierarchię zróżnicowanych i wzajemnie sprzecznych popędów duszy, a tradycja, która wyřęczała naturę w tej roli, rozpadła się. Dusza staje się sceną teatru, który regularnie zmienia repertuar — raz grają tragedię, raz komedię; jednego dnia o miłości, innego o polityce, jeszcze innego o religii; niektóre sztuki są kosmopolityczne, niektóre patriotyczne; niektóre indywidualistyczne, niektóre społeczne; niektóre sentymtalne, niektóre brutalne. Nie istnieje ani zasada porządkująca, ani wola, by poddać repertuar jakiejś hierarchii. Na scenie tej mogą występować wszystkie kraje i epoki, wszystkie rasy i kultury”.

Opisany powyżej kryzys najsilniej uderzył według Blooma w instytucję uniwersytetu i samą filozofię w Stanach Zjednoczonych. Zniknęły dawne fundamentalne pytania, tragiczne konflikty, wielkie alternatywy. Pozostał indywidualny, w niczym nie ugruntowany wybór, dokonywany ewentualnie z pomocą psychotherapeuty. Filozofia nie zapewnia już jedności wiedzy niezbędnej do właściwego usytuowania każdego problemu. Stan uniwersytetów we współczesnej Ameryce uznaje autor za katastrofalny. Akademia utraciła swą autonomię, znajduje się na usługach społeczeństwa, mas, czego znamiennym przykładem jest według Blooma bunt i przemiany lat 60. Sądę jednak, że analiza Blooma obciążona jest niepoko-

jącą asymetrią: autor pokazuje, że wirusem relatywizmu i nihilizmu zainfekowane są wszystkie sfery amerykańskiej demokracji i kręgi społeczne, jednocześnie zaś za utracone centrum drogocennej autonomii uznaje uniwersytet, kwestionując możliwość wpływu — z zasady elitarnego — środowiska akademickiego na resztę demokratycznego społeczeństwa. Chora jest całość, lecz i tak w pełni zdrowa może być, i niegdyś była, tylko część. Krytyka autora godzi w ogół dziedzin amerykańskiego życia, ale obraz zapomnianego i utraconego piękna ograniczony zostaje do portretu środowiska odseparowanych od reszty arystokratów, zajmujących się dziedziną myśli dostępną jedynie garstce wybranych: filozofią. Czy takie postawienie sprawy nie podważa zasadności rozciągnięcia tak surowej oceny na całość życia społecznego? Bloom nie zastanawia się nad możliwością takiego sformułowania liberalnego projektu, które pozwoliłoby uniknąć problemów, zrodzonych przez współczesność. Filozofowie nowożytni, pragnący zaprojektować lepszy świat, ponieśli klęskę wynikającą nie tylko z błędnej kalkulacji czy niedopatrzania. Przede wszystkim bowiem źle postrzegali swoje zadanie: nie powinno nim być według Blooma reformowanie świata, lecz poszukiwanie prawdy, pozwalające godzić targające ludzką egzystencją sprzeczności. Wina ich nie tkwiła w błędnym projekcie, a w samej próbie połączenia filozofowania z działalnością reformatorską. Bloom zarzuca im sprzeniewierzenie się samemu powołaniu filozoficznemu, dostrzegając w ich intelektualnej działalności wyłącznie filozofię na usługach polityki. Zadanie uniwersytetu z przewodzącą innym naukom filozofią to stawianie wiecznych pytań o samą istotę życia, wykraczających poza to, co czasowe, partykularne i akcydentalne. Poszukiwania studentów mają być ukierunkowywane na problemy, które, jak pisze wyraźnie autor, w demokratycznym społeczeństwie postawione nie będą. Mogłoby tu chodzić o podkreślenie bezbronności demokratycznego społeczeństwa wobec własnych dolegliwości, niemożności spojrzenia na siebie z krytycznego dystansu, dostępnego tylko filozofom. Choroby trawiające demokratyczne społeczeństwa z zasady niszczą też mechanizm rozpoznawania problemów, zdeformowana zostaje nie tylko rzeczywistość, ale i sposób jej postrzegania. Filozofowie mogliby wtedy ujawniać zafałszowania, proponować zmiany. Tego typu współpraca jest jednak według Blooma wybitnie niepożądana, dla samej filozofii zaś destrukcyjna. Odwołując się do doświadczenia filozoficznego Sokratesa i rozważań Tocqueville'a o roli uniwersytetu w demokracji, Bloom broni tezy o elitarności wiedzy i jej nieusuwalnym konflikcie ze społeczeństwem, szczególnie zaś demokratyczną opinią publiczną. Wiedza filozoficzna zawsze będzie stała w opozycji do władzy, społeczeństwa obywatelskiego. Próba przeniesienia prawdy do wewnątrz jaskini musi skończyć się faktycznym wyrzeczeniem tej prawdy, samo zresztą wpisanie takiej próby w projekt filozoficzny stanowi o wyrzeczeniu się filozofii. Filozof, który z natury jest arystokratą, przechodząc do obozu demokratycznego traci niezbędną do wypełniania swego powołania autonomię. Rozważania Blooma odsyłają do problemu granic demokratyzacji uniwersytetu, choć samo pytanie o możliwość pogodzenia autorytetu z intelektualną

autonomią nie zostaje tu postawione, Bloom nie uznaje postulowanej przez siebie edukacji liberalnej za problematyczną.

Bloom wypowiada się z pozycji bezkompromisowego krytyka, unika jednak łatwego moralizatorstwa. Interesująca jest kwestia recepcji *Umysłu zamkniętego* w Stanach Zjednoczonych (rok wydania 1987). Jeśli diagnoza Blooma jest słuszna, książka jego bądź utonęła w pstrokatej masie demokratycznego wielogłosu, bądź też znalazła swoje miejsce w kalejdoskopie krótkotrwałych mód, po czym uległa zapomnieniu. Możliwe, że zainicjowała dochodową reedycję *Państwa Platona*, z komputerowo przetworzonym, kolorowym portretem Sokratesa na okładce, niepokojąco kojarzącym się z cyborgicznym wizerunkiem wyzierającym z krzykliwych plakatów Michaela Jacksona.

Recenzowała *Samanta Stecko*

Ronald Dworkin, *Life's Dominion. An Argument about Abortion, Euthanasia, and Individual Freedom*, Alfred A. Knopf, New York 1993, 273 s.

Dworkin i interpretacja sporu o przerywanie ciąży

W pracy *Life's Dominion* Ronald Dworkin, prawnik i filozof amerykański, podejmuje problem wartości życia człowieka w kontekście dyskusji na temat przerywania ciąży i eutanazji. W książce dominuje problematyka prawna i etyczna związana z przerywaniem ciąży (poświęcono jej sześć z ośmiu rozdziałów). Praca ma wiele wątków, z których każdy mógłby stać się przedmiotem zainteresowania recenzenta, moje uwagi skupiają się przede wszystkim na dokonanej przez Dworquina analizie interpretacji sporu o przerywanie ciąży.

Dworkin zwraca uwagę na to, że w tym sporze pojawiają się dwa rodzaje argumentów. Pierwszy głosi, że przerywanie ciąży jest moralnie niedopuszczalne, ponieważ istoty ludzkie od samego początku swojego rozwoju mają swoje własne interesy, a zatem przysługują im także prawa moralne, których zadaniem jest właśnie ochrona podstawowych interesów każdego człowieka. Zgodnie z tym sposobem argumentacji przerywanie ciąży jest moralnie złe, ponieważ narusza uprawnienia moralne płodu. Tego typu argument określa Dworkin mianem „zastrzeżenia pośredniego” (*derivative objection*), ponieważ wyprowadzany jest z przyjętego wcześniej założenia, zgodnie z którym wszystkim istotom ludzkim, w tym także płodowi, przypisać można interesy i oparte na nich prawa.

Drugi argument głosi, że życie ludzkie ma wewnętrzną wartość, że jest samo w sobie „święte”, a owa świętość rozpoczyna się wraz z życiem biologicznym